

ELIZA ORZESZKOWA

---

# **Panna Antonina**



ELIZA ORZESZKOWA

## *Panna Antonina*

— Gdybym miała dwanaście córek, wszystkie, co do jednej, wykierowałabym na profesorów uniwersytetu! Tak, wszystkie, co do jednej, chociażby mię za to ludzie biczowali, krzyżowali i kamienowali, wszystkie, co do jednej, byłyby profesorami uniwersytetu! Tak! Dwanaście córek i dwanaście katedr! Takim było zawsze najdroższe marzenie moje... O! pokazałabym ją wtedy światu, co kobiety mogą i do czego są zdolne. Byłabym też szczęśliwą, bo widok dzieci moich wynagrodziłby mi wszystko to, co... przecierpiałam sama...

Istotnie, patrząc na nią, z łatwością uwierzyć można było, że w życiu swem przecierpiała wiele.

Była to teraz kobieta lat trzydziestu kilku, chuda, koścista, trzymająca się zawsze prosto, chodząca żwawo i raźnie, z energicznymi ruchami delikatnych, podługowatych rąk, których błękitne żyłki, przebijające się przez ciekłą skórę, objawiały wysoki stopień fizycznego wycieńczenia.

Wycieńczenie to widocznym też było w twarzy panny Antoniny. Z profilu widziana, wyglądała dość jeszcze młodo, bo rysy miała prawidłowo i delikatnie zarysowane, lecz gdy się na nią wprost, twarzą w twarz patrzyło, wydłużenie chudych policzków jej, czoło, okryte rojem drobnych zmarszczek, i żółtawa bezkrwista jej cera sprawiały wrażenie przedwczesnego zwiędnięcia. Kiedy wpadała w zapał, co zdarzało się bardzo często, cienkie, blade jej wargi drgały nerwowo, a piwne, zagłębione oczy ciskały iskry i płomienie.

Ubięrała się zawsze jednostajnie, w czarną suknię, której stanik obcisłe zarysowywał wyprostowaną i suchą jej kibić i w niepokalanie białe kołnierzyki i mankiety. Nigdy błyskotki żadnej, ani żadnego przyozdobienia stroju, z wyjątkiem kawałka czarnej koronki, którym przysłaniała włosy swe, czarne niegdyś, teraz zlekką już siwiejące i dwoma gładkimi pasmami nisko na czoło zsunięte. Sposób ten czesania się nadawał wysokiemu czołu postać dość regularnego trójkąta i powiększał blask ognistych oczu.

— Tak; dwanaście córek i dwanaście katedr i nikt mi tego z głowy nie wybije! Ja nawet tego nie rozumiem, jak państwo możecie słuszności mi nie przyznawać? Cóżto? powiadacie mi, że ptaki nie orzą i nie sieją, a jednakże żyją! dziękuję! Śliczne mi to pocieszenie! Nie orać i nie siać! Ja bo jak patrzę na te nieorzące i niesiejące, to taka mię złość ogarnia, żebym je pięścią do siania i orania nagoniała! tak, pięścią nagoniałabym; bo to próżniaczki są, lalki, pijawki, pasorzyty wysysające soki z drzewa społeczeństwa! O! żebym miała córki, nigdy nie pozwoliłabym im na coś podobnego, nigdy, nigdy! Niechby lepiej poumieraly dziećmi. Takie są moje przekonania i biczujcie mię, krzyżujcie, ścinajcie, a już ja od swego przekonania nie odstąpię!

Nie tylko biczować ją, krzyżować i ścinać, ale nawet zaprzeczać jej nikt nie myślał.

Było to w malutkim, niskim pokoiku, znajdującym się pod dachem wysokiej kamienicy miejskiej. Pana Antonina siedziała na sprężynowej kanapce, bardzo staro i ubogo wyglądającej, przed okrągłym stolikiem, na którym paliła się świeca stearynowa w żelaznym lichtarzu i stały trzy szklanki z herbatą. Przy ścianie przeciwległej znajdowało się łóżeczko wąskie, ze szczupłą, twardą i śnieżyście białą pościelą, dalej stała komódka pełna kajetów dziecinnych, książek ze zniszczoną oprawą, dalej dwa czy trzy stare, żółte krzesła, jakiś taborecik ze spłowiałym nakryciem, samowarek gotujących się na ziemi przed otwartym piecem, na ścianach kilka historycznych rycin z ilustrowanych dzienników wyciętych i szpilkami przymocowanych do obicia, zasianego polnymi kwiatkami; u jednego okna kilka zielonych roślin w doniczkach i klatka z kanarkiem.

Pokoik ten był nadzwyczaj czysty. Obicie z polnemi kwiatkami, wazoniki, ptaszek w klatce i śnieżnie usłane wąskie łóżko, nadawały mu pewien charakter naiwności, na tle której dziwnie odbijała czarno ubrana, surowa i sucha postać jego właścicielki.

Patrzyłam na nią z ciekawością i współczuciem. Ani dwanaście córek w połączeniu z dwunastu katedrami, ani »drzewo społeczeństwa«, ani uderzania pięścią w stół, nie zrażały mnie do niej. Znałam ją oddawna.

— Jednakże — nieśmiało zaczęłam — pani sama nie zajmowałaś nigdy katedry profesorskiej, a któż powiedzieć może, że nie siejesz i nie orzesz...

Spojrzała na mnie bystro, podejrzliwie, jakby usiłując przekonać się, że w słowach moich złośliwości lub ironii nie było, potem smutnie skinęła głową, a ręka uczyniła znak zniechęcenia.

— Oj! — rzekła — także tam sianie i oranie moje! Boże odpuść!

Chude, długie, delikatne ręce swe na czarnej sukni splotła i cichszym znacznie głosem zaczęła:

— To prawda; dwadzieścia i jeden lat skończyło się na wiosnę, odkąd nauczycielką jestem. Prosto z pensyi, tak, prościutko z pensyi na nauczycielkę poszłam. Ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam. Ojca już na tej ziemi nie było, chora matka u krewnych mieszkała. Prosto więc z pensyi... do cudzego domu! No i cóż dalej? przez siedemnaście lat z domu do domu... a cztery lata, odkąd tu osiadłam, bo przekonałam się ostatecznie, że wszystkie ściany na świecie zimne, i wszystkie serca cudze... Te ściany i te serca swoją drogą, a swoją drogą... własna głupota! Takem ja zupełnie do nauczycielstwa, jak wół do karety. Czyto ja nie rozumiem coto jest gwiazda wiedzy i jak mnie do niej daleko! O, gwiazdo wiedzy! Kto tam o czem marzy i do czego wzdycha, a ja o niej tylko marzyłam... Wzlatywałam też, wzlatywałam do niej i tędy i owędy i tak i owak, ale sposobów i czasu nie było... głód moralny i koniec! O! żeby miałam córki...

Wszystko to mówiła z wielkim spokojem w postawie i ze spuszczonei oczyma. Widocznie do zwierzań się i wywnętrzań nieprzyzwyczajona, wstydziła się nieco, że tak długo o samej sobie mówi. Nagle spostrzegła, że szklanki przed gośćmi stojące są już próżne. Zerwała się żywo z kanapki i pochwywszy szklanki, do samowarka pobiegła. Chciałam wyręczyć ją w nalaniu herbaty, bo samowarek stał na ziemi, a wiedziałam o tem, że nachylenie się sprawiało jej przykrość, z powodu artrytyzmu w nogach i ramionach, którego lekkich jeszcze ataków, od pewnego czasu doświadczała. Dobre chęci moje bardzo energicznie odrzuconemi zostały.

— O, nie! o, nie! — zawołała — tak mi jest miło służyć paniom w mojej chatce! Rzadko miewam gości, ot! prawie nigdy. Czasem chyba która z dziewczątek tych, młodych koleżanek moich, wpadnie do mnie na chwilkę, ale i to rzadko bywa, bo czasu niebożątka nie mają i z młodemi przestawać wolą. Nie mam też ja do nikogo pretensyi o nic. Każdy ma swoje zajęcia i stosunki... A te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi sobie ludźmi, to tylko w powieściach... Ot, córki dobre kiedy kto ma... o! córki...

Postawiła na stole szklanki z herbatą, starannie pokroiła i na talerzu ułożyła buleczkę, a czyniąc to, uśmiechała się wesoło.

— Tak mi jest miło przyjmować panie w moim domku... I przytem — dodała zaraz — wszystko w małym gospodarstwie mojem robię zawsze sama, a to dlatego, aby przekonać ludzi, że kobieta, która samodzielnie żyje i do gwiazdy wiedzy wzdycha, niekoniecznie już w życiu praktycznem musi być niedołągą!

„Samodzielność kobiety” i „gwiazda wiedzy”, ilekroć je wspomniała, nieuniknienie wprawiały ją w zapał. I teraz też, szerokim, energicznym ruchem wskazała nam ściany pokoiku swego i napełniające go przedmioty.

— A co! — zawołała — czysto, porządnie i choć ubogo ale i trochę nawet elegancko. Obicie z maczkami i blawatkami sama wybrałam w sklepie, jakem się tu wnosiła. I kwiatki są i kanareczek i ryciny takie, na jakie mię stać było... Ot! niech przyjdą i zobaczą, że kobieta, która sama dla siebie na kawałek chleba zapracowuje, a naukę ubóstwia... niekoniecznie przecież musi być niemytą i nieuczesałą.

— O kimto pani mówi, aby przyszli i zobaczyli? — zapytałam.

— Ot! — zawołała — albo to pani nie wiesz? Kobietożercy, tyrani, gwałciciele praw najświętszych, którzy odmawiają kobietom prawa do nauki i samodzielności, a gdy tylko która z nas palcem poruszy, u nich o pozwolenie nie poprosiwszy, arabskie awantury na

nią wygadują... O! żebym ja miała córki...

Zauważyłam, że w marzeniach swych zanadto może jednostronną jest, dwanaście naraż kobiet na katedrach profesorskich osadzając, że przecież inne jeszcze gałęzie pracy ludzkiej...

— No, no! — przerwała, — to tylko tak się mówi! naturalnie, że są inne gałęzie... Ale ot! z kądem mi się te katedry wzięły...

Zaśmiała się wesoło...

— Wiesz pani dobrze o tem, że ja w życiu mojem z uczonymi ludźmi nigdy żadnych stosunków nie miałam. Po obywatelskich domach młodość całą przewłóczyłam się, a obywatelstwo nasze... wiadomo... Otóż, raz tylko, przez całe życie moje, zdarzyło mi się spotkać profesora uniwersytetu... Miałam wtedy już lat pod trzydzieści, wiesz pani, o mało, o mało, że przed człowiekiem tym na kolana nie uklęknęłam. Mąż nauki! pani moja! pokolenia młode do gwiazdy wiedzy prowadził! Śmieli się wtedy wszyscy ze mnie, mówili, że pomiędzy nimi bywają tacy i owacy. A mnie co do tego? kapłan nauki i koniec. Wtedy też, na człowieka tego patrząc, pomyślałam sobie: gdybym to ja na jego miejscu była! Aż mi się w głowie od myśli tej zakręciło! Gdzie tam mnie, mizernemu robakowi, o takim szczęściu myśleć! Ale potem przyszło mi do głowy, że gdybym miała córki... i od tego czasu, ile razy pomyślę sobie o córce, tyle razy obok ślicznej dziewczyny, zdrowej, szczęśliwej, matkę swoją z całego serca kochającej, widzę profesorską katedrę.... Tak to czasem, pani moja, człowiek swój głód moralny różnemi wyobrażeniami uspokaja... Czasem ramiona tej dziewczyny mojej wymarzonej około szyi swojej czuję... a czasem widzę ją i słyszę przemawiającą z katedry...

Zaczęła mówić ze śmiechem, a kończąc, miała łzy w oczach. Jak wszyscy przecież, których łez nie spostrzegali i nie ocierali nigdy nikt, nie lubiła ich pokazywać nikomu. Zarumieniła się trochę i pobiegła ku oknu, aby mi kwitnącą tam w doniczce pelargonią pokazać.

Oglądaliśmy właśnie pelargonię, gdy cichutko i zwolna otworzyły się drzwi wiodące na wschody i do pokoju wsunęła się dziewczynka dziesięcioletnia może, w długiej aż do ziemi podartej sukieneczynie, z lnianemi włosami na tył głowy zczesanemi, więc odkrywającemi w pełni puciołowatą, różową, dwojgiem błękitnych oczu świecąca twarzyczkę. Wsunęła się i onieśmielona widokiem nieznanym sobie osób, tuż przy drzwiach, do ściany plecami przycisnąwszy się, stanęła.

Wnet za nią żwawiej i śmieiej wtargnął chłopak nieco od niej starszy, bosy, rozczochrany, w spencerku, z którego dawno już wyrósł, a po wtargnięciu jego wsunęło się jeszcze jedno dziecko, niewiadomo już jakiej płci, bo w grubej tylko koszuli, znacznie młodsze od tamtych, z kromką czarnego chleba przy ustach.

— Jacyż to osobliwi goście? — zapytałam.

Panna Antonina zmieszana się trochę.

— A no, — zaczęła — to są dzieci stróża tej kamienicy.... bardzo biednego człowieka i w dodatku pijaka...

— Uczniowie pani zapewne?...

— A uczniowie... dziewczyna jest łagodna i zdolna, chłopak zdolny także, ale...

— I to maleństwo także uczysz pani?...

— Ej nie! przychodzi to sobie z rodzeństwem, kiedy samo chce i przysłuchuje się tylko naszym lekcjom... Jestto — dodała, — na uniwersytecie moim wolny słuchacz...

Uniwersytet ani na chwilę z głowy jej nie wychodził.

— Ileż pani masz godzin lekcji na mieście? — zapytałam.

— Ośm.

— Ta więc, z temi dziećmi, jest dziewięć.

— Naturalnie. Ośm a jeden to dziewięć!

Kiedy z towarzyszką swoją żegnałyśmy pannę Antoninę, dzieci ośmieliły się już zupełnie i były w pokoiku jej, jakby u siebie.

Dziewczynka, wspinając się na palcach, ściągała z komody elementarz swój i zeszyt, zakreślony grubemi kreskami, chłopak czyścił łupkową tabliczkę, a maleństwo, wdrapawszy się na taboret, z podniesioną głową i otwartemi ustami podziwiała kwitnącą pelargonię. Jakież było zdziwienie nasze, gdy na schodach spotkałyśmy dążące w górę jeszcze jedno

dziecko ubogo ubrane i jeszcze jedno i jeszcze jedno...

— Dokąd idziecie wszyscy? — zapytałam jedno ze spotkanych dzieci.

— Do panny Antoniny! — odpowiedział mi malec, który jak dowiedziałam się potem, w sklepie jakimś zajmował posadę wymywacza podłóg i roznosiciela po mieście zakupionych towarów.

— A ileż rodzice wasi płacą pannie Antoninie za to, że was uczy? — zapytałam jeszcze malca.

— A ktoby tam miał rodziców jakich! — odkrzyknął chłopiec, po trzy schody odrazu przesadzając.

Widocznie miłość panny Antoniny dla »gwiazdy wiedzy« platoniczną nie była.

Po raz pierwszy poznałam ją, gdy była jeszcze zupełnie młodą, bo nie miała więcej nad lat dwadzieścia cztery. Nosiła jeszcze wtedy kolorowe suknie i czarne włosy dość pretensjonalnie zaczesywała, ale nie była już świeżą i zaczynała stawać się chudą i kościstą.

Zwiednięciu temu, nader przedwczesnemu, towarzyszyła przecież świeżość uczuć, do egzaltacji i naiwności posunięta. Zajmowała miejsce nauczycielki w trzecim już zkolei domu i po raz trzeci była pod wpływem najzupełniejszego złudzenia, że na zawsze, albo przynajmniej na bardzo długo, stała się przybranym członkiem rodziny, wśród której zostawała. W rzeczy samej rodzina ta, jakkolwiek z osób uczciwych i dobrze wychowanych złożona, o żadnym przybieraniu jej za członka swego ani myślała. Czulią się ona najzupełniej w komplecie i nie uciuwała potrzeby powiększania się przez przyjmowanie do siebie osób obcych. Obchodzono się z nauczycielką dobrze przez przyzwoitość i prostą życzliwość, trzymano ją, bo nie widziano, jakaby korzyść odprawienie przynieść mogło; przytem z nadmiernej czułości wszystkim okazywanej i z przebijającego się niekiedy w mowie patosu, jak też czasem z loczków, które wysoko piętrzyła nad czołem, i z całonocnych przesiadywań nad książkami, śmiano się pocichu. Śmiano się z nauczycielki tak cicho i tajemnie, że ona tego nigdy spostrzec, ani dosłyszeć nie mogła.

Wzamięn każdy żywszy objaw grzeczności, każde cieplejsze nieco uściśnięcie ręki lub życzliwsze słowo, przybierały w oczach jej znaczenie uczuć gorących i trwałych. Pod wpływem ich, tajała cała w przywiązaniu i wdzięczności, z zapalem i gorliwością niezrównaną oddawała się na usługi każdego, kto ich zażądał. Przedewszystkiem duszą i ciałem oddawała się uczniom swoim. Ciekawym był istotnie widok, jak we wszelkich z nimi stosunkach heroicznie i skutecznie walczyła z wrodzoną sobie żywością i popędliwością, zarówno jak z niedostatkami wykształcenia własnego. Pensyjka, z której zaczerpnęła była cały zasób swej wiedzy, była pensijką bardzo mizerną, to też zrazu panna Antonina zając mogła miejsce tylko nauczycielki początkowej. W tym trzecim jednak domu zostając, udzielała już nauki średniej.

Postęp ten nie przyszedł sam przez się; aby go zdobyć, przesiadywała była pięćset nocy nad gramatykami różnemi, ze trzysta przynajmniej nad historią i jeografią i ze sto pięćdziesiąt nad arytmetyką. Były to już wszystkie prawie gałęzie nauki, których znajomości od niej żądano. Żądano wprawdzie jeszcze i nawet bardzo usilnie muzyki, ale w tej, panna Antonina żadnemi już pod słońcem usiłowaniami wydoskonalić się nie mogła. Poprostu nie miała ucha do muzyki, a pomimo, że ręce jej były kształtne i delikatne, palce uderzały zawsze i niezmiennie po dwa klawisze na raz. Muzyce więc całkiem za wygraną dała. Natomiast, ilekroć ktokolwiek zapytał ją, dlaczego w pokoju jej po całych nocach pali się światło, podnosiła głowę i z oczyma błyskającemi od zapalu, śmiało i nawet z dumą odpowiadała: Kształcę się.

Kształcenie się było ambicyą jej, namiętnością, drogiem pragnieniem całej jej młodości. Postępowało czasem dziwnemi drogami: tak np. dla wprawienia się w język francuski, tłómaczyła kilkotomowe powieści francuskie i uczyła się recytować na pamięć długie ich ustępy, ażeby zaś zdobyć szerszą wiedzę o świecie i ludziach, kilka miesięcy ślęczała nad ogromnych rozmiarów dziełem o strategii wojskowej. Szczególne to skierowanie się jej studyów było wynikiem prostego wypadku.

Pani domu lubiła czytać francuskie powieści; pan domu był eks-wojskowym. Suego więc, Dumasa, Sanda i strategią znalazła w starej biblioteczce domowej i z kilkoletniego pyłu otarłszy, za skarby znalezione uznała. Innych książek w domu nie było, a ona skądżeby mieć je mogła? Pensyę brała niewielką i trzy czwarte jej odsyłała chorej matce. Za

pozostałe pieniądze sprawiała sobie suknie tanie, ale tak co do barwy, jak co do kroju, usiłujące zawsze mieć w sobie coś poetycznego. To dążenie do poetyczności w ubieraniu się, jako też piętrenie loczków nad czołem, świadczyć zdawało się, że w porze tej swego życia panna Antonina, oprócz dwu powyżej wymienionych, miała jedno jeszcze, bardzo właściwe wiekowi jej pragnienie; zapewne marzyła czasem o tem, aby kochać, być kochaną, wyjść za mąż. Jednak napewno powiedzieć można, że ten szereg pragnień i marzeń, stał u niej na planie dalekim. Głównie i przedewszystkiem szło jej o to, aby być jednostką rodziny jakiej i kształcić się.

Była też najzupełniej pewną, że osiągnęła pierwsze z pragnień tych, a dokonywała drugiego, gdy niby piorun ugodziła w nią wiadomość, że przez caluteńkie dwa lata zostawała pod wpływem najzupełniejszego złudzenia i, że z chwilą, w której uczennice jej potrzebowały rozpocząć naukę muzyki, — ona z domu ich ustąpić musiała. Jakto! rodzina ta więc, lubiąc ją i szanując, uważała zawsze za osobę obcą i tymczasowo tylko niezbędną. Jakto! więc nie kochano jej naprawdę i odprawiono, gdy tylko jednej potrzebie jakiejś zadość uczynić nie mogła! Była to dla niej trzecia już z rzędu niespodzianka podobna, wywarła na nią przecież wrażenie takie samo zupełnie, albo może i silniejsze, jak pierwsza i druga. Zapomniała nawet o kształceniu się.

Przez dwa tygodnie po całych nocach zalewała się łzami, po wszystkich samotnych kątach domu i ogrodu załamywała ręce i na pożegnanie całowała sprzęty i drzewa; duże już i ciężkie dzieci na ręce porywała, dusząc je w uściskach i wlewając w ich dusze całe dykcjonarze najczulszych wyrazów. Nakoniec, gdy z twarzą spuchniętą od płaczu, zmęczona, chora prawie wsiadła do powozu i wyjechała za bramę ładnego wiejskiego dworu, osłupiałym wzrokiem powiodła po szerokich polach i jesiennem niebie, bo doświadczyła takiego uczucia, jak gdyby świat cały był jedną bezgraniczną, głuchą, zimną pustynią.

W czwartym zkolei domu przebyła dłużej nieco jak w trzecim, niepospolicie nawet długo, bo całe lat trzy. Zawdzięczała to nowym postępom, które w kształceniu się swem dokonała, a które pozwalało jej dalej już nieco posuwać edukacją młodych dziewcząt, nadewszystko zaś zawdzięczała staruszce pewnej, babce pani domu, której stała się ulubienicą, sługą i ofiarą. Nie mogąc już tym razem na żaden sposób ludzić się co do usposobień względem niej pani i pana domu, ludzi dumnych i zimnych, nie mogąc zdobyć sobie przywiązania dzieci, nieszczęśliwie przez naturę utworzonych, a źle wychowanych, — przyłgnęła, można powiedzieć, przykleiła się do staruszki. Przedewszystkiem wyidealizowała ją sobie.

W rzeczywistości, ośmdziesięcioletnia przeszło osoba ta, jeżeli i posiadała kiedy jakiegokolwiek przymioty umysłu i serca, ze szczętem je utraciła i teraz przedstawiała już zaledwie niekształtne i niedołężne resztki ciała, ożywione zaledwie dostrzegalnymi resztkami ludzkiej duszy. Dla panny Antoniny jednak dziecinne kaprysy jej, samolubne wymagania jej i bezmyślne gadaniny, były „wspaniałym i rozrzewniającym majestatem starości”. Co najważniejsza, że z jednej strony przypominała jej ona kochaną babkę w dzieciństwie utraconą, a z drugiej strony miała prześlicznie, długie i gęste włosy, z białością śniegu a połyskiem srebra. Panna Antonina kwadranse i godziny przepędzała na kłęczkach lub na niskim stołeczku u stóp fotelu lub łóżka staruszki, bawiła ją opowiadaniem powieści Suego i Sanda; studziła jej rosoly i gotowała ziółka, pielęgnowała ją w chorobach i popychała wózek jej po cienistych alejach ogrodu. Wzamian tego wszystkiego, staruszka pozwalała jej nazywać siebie babcią i od czasu do czasu nazywała też ją zdrobniąłem imieniem Antosi. To ostatnie szczególnie, sprawiało nauczycielce wielką przyjemność.

Powoli cały ciężar »majestatu starości« na jej barki włożono. Ona upatrywała w tem dowód zaufania i szacunku, co napełniało ją uczuciem przychylności i wdzięczności dla ludzi, którzy zresztą patrzyli na nią bardzo zgóry. Drugiem szczęściem jej w domu tym była możliwość dalszego kształcenia się, polegająca na czytaniu niemieckich filozofów, których pan domu był zwolennikiem wielkim i zbiór spory posiadał. W porach więc, w których ani staruszka, ani dzieci jej nie potrzebowały, czytała, czytała, czytała filozofów niemieckich; kilkanaście miesięcy upłynęło, zanim zrozumiała, że nic nie rozumie i że cała ta ciężka praca, którą dokonała, nie przyniosła jej korzyści żadnej. W innym czasie odkrycie to napełniłoby ją smutkiem, teraz jednak nie myślała o biadaniu nad poniesioną stratą sił i czasu, bo najdroższa staruszka jej szybko bardzo zbliżała się do chwili, w której »majestat starości« ustępuje przed »grozą śmierci«.

Umarła.

Przed skoniem, resztki duszy jej wzmogły się na siłach, gasnącym wzrokiem szukała pośród obecnych panny Antoniny, a gdy ta wzrok zrozumiał, przy łóżku jej uklękła, zeszkła i kostniejącą dłoń swą, w znak błogosławieństwa na głowie jej położyła.

Panna Antonina o chwili tej i o tem niemem błogosławieństwie wspominała zawsze z silnem wzruszeniem. Nazywała je jednym z najpiękniejszych wspomnień swoich. Jednym zato z najprzykrzejszych wspomnień było ofiarowanie jej, w parę dni potem, przez panią domu w rodzaju wynagrodzenia za czułość babce okazywaną, jedwabnej sukni i szczerolotej broszy, których naturalnie nie przyjęła, i oświadczenie, że przed miesiącami wakacyjnymi dom ich opuścić powinna. Panna Antonina uczyniła to, ale już nie w ten sposób w jaki opuszczała dom poprzedni, bo bez płaczu, łamania rąk, całowania ścian i krzesel... Być może, iż gdyby nawet nie żądano — odjechałaby sama; po stracie staruszki i rozczarowaniu, doznaniem względem filozofii niemieckiej, nic tu już ją nie wiązało.

Gdy o parę wiorst od dworca mijala cmentarz, kazała furmanowi zatrzymać konie, poszła na cmentarz, posiedziała chwilę na murawie u brzegu mogiły staruszki, potem z obsychającymi na policzkach łzami do powozu wróciła — i pojechała dalej.

Należała ona do tej kategorii natur ludzkich, które niezmiernie troszczą się o możliwą doskonałość tego, co czynią. Nie rozumiała nigdy, co to jest czynić cokolwiek byle kiedy i byle jak. O wczesnej bardzo porze zrywała się z pościeli, z energią rumaka rwącego się do boju; ręka jej nabrała machinalnego ruchu sięgania po zegarek. Wiele już lat minęło odkąd była nauczycielką, a jednak do lekcji z uczennicami swymi przystępowała zawsze z wewnętrznym niepokojem, który jakkolwiek ukrywała starannie, przebiegał się w wyrazie ognistych jej oczu. Owszem niepokój ten, zamiast umniejszać się, rósł z latami. Ze zwykłą sobie górnolotnością wyrażań, mawiała: »nauczycielstwo, to kapłaństwo« i z namaszczeniem kapłanki a zapałem apostołki przeplatała lekcje języków, jeografii i arytmetyki długimi mowami o pracy, miłosierdziu, braterstwie ludzi, wielkości nauki i tym podobnych bardzo pięknych i wzniosłych rzeczach.

Nie można powiedzieć, aby nauczania te, jakkolwiek przedmiotami ich były rzeczy piękne i wzniosłe, odpowiadały zasadom dobrze wyrozumowanej pedagogiki. Pomimo wiedzy i woli panny Antoniny, plątały się w nich wyrażenia i zwroty, będące niby echemi tłómaczonych dla wprawy we francuski język romansów, jako też studyowanej, w celu kształcenia się, filozofii niemieckiej. Przytem zapał unoszący mówczynię, ruchom jej i wyrazowi twarzy nadawał cechy, sprowadzające częstokroć na dziecinne twarze słuchaczy figlarne uśmieszki. Bywały dzieci, które słuchając moralizatorskich mów jej śmiech w sobie tłumili, i takie, które słuchały ich bardzo pilnie, ani pół słowa z nich nie rozumiejąc, i takie jeszcze, które rozumiały je trochę, a częściowe rozumienie to, od czasu do czasu, w postępach swych ujawniły. Te ostatnie sprawiały pannie Antoninie rzadkie, lecz żywe radości. Były to niby krople rosy, spadające na czoło palone gorączką.

Raz przecież, wkrótce po rozstaniu się z ową ukochaną staruszką, panna Antonina znalazła uczenie idealną, taką, o jakiej marzyła oddawna, o możliwości znalezienia wątpić zaczynając. Dziewczynka bardzo pojętna, żywa, czuła, nietylko uczyła się wybornie gramatyki, jeografii, historii i arytmetyki, ale też niezmiernie okazywała zamiłowanie do tego, co panna Antonina zwykła była nazywać „filozofią nauczania”. Długich i gorących rozpraw jej o braterstwie ludzkim, miłosierdziu, pracy, nauce i t. d., nietylko z wielką uwagą i prawie z chciwością słuchała, nietylko bystro i szybko podstawowy sens ich sobie przyswajała, lecz jeszcze zapalając dziecięcą wyobraźnię swą u ognia gorejącego w piersi nauczycielki, z żarliwością wielką we wszystkich okolicznościach dziecięcego życia swego stosować je usiłowała.

Tak naprzykład, spotkawszy raz na przechadzce ubogie, żebracze dziecko, zdjęła wykwintne, małe obuwie swe i ubogiemu dziecku je oddała. Służącym zabroniła nazywać się »panienką« i co chwila w twarz je całować chciała. Nad książkami przesiadywała do późnej nocnej godziny, co niekoniecznie dobrze oddziaływało na zdrowie, lecz pannę Antoninę w zachwyty nieopisany wprawiało. Z trudem wielkim przestudowała strategię wojskową i filozofią niemiecką bieżącego stulecia, wzamian o higienie wogóle, a higienie dziecięcej w szczególności, ze słyszenia zaledwie wiedziała. Zresztą, przez całe życie swe, ciało i wszelkie jego potrzeby miała ona w wielkiej pogardzie. Wszystkimi dla niej był — duch.

„Będzie to piękny, czysty, wzniosły duch!” — mawiała zwykle o niepospolitem dziecku, które przez matkę swą, piękną i bardzo bawiącą się wdówkę, niezbyt uszczęśliwiane, do nauczycielki przywiązało się rzewnie i namiętnie.

Przez całe dwa lata nie rozłączały się z sobą ani na jedną godzinę. Blade, wątłe, nerwowe dziecko zasłoniło przed panną Antoniną świat cały. Prócz niego nie widziała ona nikogo i nic. Poetyczność ubrania zniknęła całkiem z uwagi jej i pamięci, przestała włosy zawijać na loczki; wzamian kształcenie się nabrało dla niej wyższej jeszcze wagi. Tyle umieć, aby móc edukacją ukochanej dziewczynki aż do końca doprowadzić — stało się najdroższem, najwyższem jej marzeniem. Doprowadzić ją do granic świata i rodziny, towarzyszyć jej w świecie, a potem na zawsze wejść w jej rodzinę, głowę swą na zawsze u piersi jej i w ścianach jej domu utulić, a może dzieci jej jeszcze kołysać, hodować, nauczać, — wydawało się to pannie Antoninie szczytem szczęścia, zarówno jak najmożliwszą ze wszystkich pod słońcem możliwości.

Z serca jej i głowy nie wyszedł był jeszcze wyraz: na zawsze! Tym razem muzyka nie stawiała przed nim groźnego znaku zapytania; była ona bowiem udzielaną uczenicy przez kogo innego. Co się zaś tyczy innych nauk, o! panna Antonina wierzyła w siły własne; długie godziny nocne i poranne przesiadując nad stołem obładowanym różnego rodzaju podręcznikami i metodami, kształciła się z taką żarliwością, że żółtość cery jej i kośćcistość kibici, czyniła szybkie i widoczne postępy.

W stroju i obejściu się z ludźmi stając się poważniejszą i surowszą, w stosunku do dziecka odmłodziła i odświeżyła się. Niewiedzieć jak z wyobraźni jej wywijać się poczęły cudowne bajki i historye, któremi bawiła i nauczała zarazem; niewiedzieć jakim sposobem nauczyła się sama biegać i śmiać się, a lekcye, ze zdwojonem namaszczeniem udzielane, przeplatała wesołą i głośną zabawą. Nigdy też potem zrozumieć nie mogła, z kąd się jej brała fizyczna siła taka, że dziewczynkę już dwunastoletnią, niby piórko chwytała na ręce, aby móc ją silniej, ściślej do piersi swej przycisnąć, ani jakim sposobem czas ubiegał tak szybko, że szare godziny, które spędzały w kątku pokoju, przytulone do siebie, zdawały się graniczyć z chwilami świtania, które często, sinem światłem swem, przyćmiewało żółty blask niezgaszonej jeszcze lampy.

O szarej godzinie, tuląc się wzajem do siebie, nauczycielka i uczenica jednocześnie i z jednostajnie silnem przekonaniem powiedziały sobie, »nie rozłączymy się z sobą nigdy! « W parę miesięcy potem ktoś z poważnych krewnych dziewczynki uczynił matce jej uwagę, że nauczycielka taka, jak panna Antonina, edukacji panielki mającej i do błyszczzenia w świecie przeznaczonej ukończyć nie jest w stanie, że trzeba jej nauki gruntowniejszej i szerszej, jako też kształcenia talentów. Coprawda krewny ów miał słuszność zupełną; uznała ją też piękna i bawiąca się wdówka, tem łatwiej i chętniej, że oddanie na pensyą córki dorastać zaczynającej, o lat kilka przedłużało matki młodość.

Dziewczynka więc oddaną być miała na pensyą. Nauczycielka o parę tygodni wcześniej dom opuszczała.

W piękny, letni poranek, w podróżnym ubraniu na ganek wyszedłszy, nie widziała ona ani błękitu nieba, ani zieleni okrywającej ziemię, ani słońca, ani ludzi. Nie płakała. Miała tylko spieczone usta, drżące ręce i na żółtych policzkach, plamy ciemnych rumieńców. Drżącemi rękami objęła raz jeszcze uczenicę swą, która szeptała jej coś do ucha. Mówiła zapewne, że nie zapomni o niej nigdy i skoro tylko z pensyi wróci... Panna Antonina uwierzyła widać słowom dziecka, bo uśmiechnęła się i wyraz pocieszenia na twarz jej spłynął.

Wsiadła do powozu — i pojechała dalej.

Wkrótce potem zaszedł w życiu jej wypadek, wobec położenia jej dość osobliwy. Miała starającego się, — odmówiła mu. Był to człowiek nie stary jeszcze, zamożny obywatel wiejski, bardzo uczciwy i dość ograniczony. Była to dla niej partya świetna, ostatnia zapewne sposobność wyjścia za mąż, zapewnienia więc sobie spokojnej i z wielu stron szczęśliwej nawet przyszłości. Wszystko to czuła i uznawała sama. To też walczyła z sobą i wahała się długo. Ostatecznie jednak, gdy przyszło do dania słowa konkurentowi, odmówiła.

Dokoła uważano ją prawie za waryatkę i sama potem mówiła nieraz, że „wedle światowych względów sądząc, popełniła wielką niedorzeczność”. „Ale — dodawała zaraz — nie mogłam postąpić inaczej. Człowiek to był dobry, uczciwy, ale o nauce, ani o żadnych



ideach i kwestjach, literalnie, pani moja, pojęcia nie miał. Wspólności przekonań nie było pomiędzy nami żadnej i przywiązania do niego nie miałam. Wyjść zamąż bez przywiązania i bez wspólności przekonań, byłoby to z mojej strony zaprzecić się swego ducha i stać się na świętym drzewie rodziny pasorzytem. Nie mogłam”.

Osoby, które znały ją we wczesnej jej młodości, domyślały się, że była ona kiedyś silnie w kimś zakochaną. Był to podobno jakiś brat czy kuzyn jakiejś pani domu. Można tylko było domyślać się tego, gdyż ona sama nie zwierzała się z tem nigdy przed nikim i parę razy tylko pochwyciono ją na gorącym uczynku przypatrywania się fotografii jakiegoś mężczyzny, którą też coby prędzej chowała na dno szczelnie zamykającej się szkatułki. Być może, iż echa zaznanych kiedyś wzruszeń, nadziei i cierpień, znacznie przyczyniły się do tego, że w trzydziestym pierwszym roku życia, nie chciała pochwycić przychyłającej się ku niej gałęzi: „świętego drzewa rodziny”.

Później nieco doświadczyła ona wstrząśnięć moralnych innego rodzaju. Po raz pierwszy w życiu swem znalazła się w domu, którego mieszkańcy posiadali wysokie umysłowe wykształcenie. Goście domu tego odznaczali się po większej części właściwością tą samą. Tamto po raz pierwszy doświadczyła ona przebłysku pojęcia o tem, czem jest istotna nauka i jakimi drogami postępować zwykło na świecie kształcenie się. Z rozmów dokoła niej toczonych i książek, których dom ten był pełen, dowiedziała się, że przez długie lat kilkanaście, wyobrażając sobie, że kształci się, czyniła niewiedzieć co; czyniła coś istotnie i to z trudem nadzwyczajnym, ale, jak potem mawiała zwykle: „było to, pani moja, takie podobne do kształcenia, jak pięść do nosa.” Uczyniwszy odkrycie to, załamała ręce i załapała się łzami; płakała przecież niedługo. Najprzód nie miała czasu, bo uczyła tam aż troje dzieci, następnie przyszło jej na myśl, że ma dopiero lat trzydzieści dwa. Cóż? wiek ten nie jest jeszcze starością. Uczonego pana domu o kierownictwo, a wykształconej żony jego o pomoc prosząc, rozpoczęła kształcenie się *ab ovo*. Dopomagano jej w pracy tej szczerze i umiejętnie, ona sama zanurzała się w niej z naiwnym zapałem młodego dziewczątka. To też, coraz wyraźniej, coraz szerzej spostrzegać zaczynała „gwiazdę wiedzy”, gdy rodzice małych uczniów jej, finansowo nadrujnowani, wydzierżawili wieś swoją i w celu staranniejszego a tańszego wychowania dzieci, w mieście osiadli! Nauczycielka o kilka dni wcześniej niż oni, dom ich opuszczała.

Z pokoju swego wyszła w czerni cała, prosta, sztywna, a ktoby ją wtedy po raz pierwszy zobaczył, myślałby pewnie, że była to kobieta szorstka i rozgniewana. Czoło jej było porznięte zmarszczkami, ogniste oczy świeciły ponuro, chód i ruchy miały w sobie coś ostrego i popędliwego. Jednak pana i panią domu pożegnała z głębokim szacunkiem, dzieci uściśnęła serdecznie, milcząc, do powozu wsiadła — i pojechała dalej.

Odtąd cechy, których powierzchowność jej i obejście się stopniowo nabierały, nie-dobrze względem niej ludzi usposabiała. Ona też dobrych ich usposobień dla siebie nie oczekiwała. Powiedziała była sobie, że »wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca obce« i że: »te wielkie przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach«. Powiedziała to sobie i z różowego morza iluzji, po którym przez całą swą młodość pływała, wpłynęła w gorzkie wody nieufności i podejrzliwości.

Neufność i podejrzliwość malowały się w wyrazistych jej oczach wtedy nawet i wtedy szczególnie, gdy ktokolwiek zwracał ku niej życzliwe lub serdeczne słowa. Na każdy objaw sympatyj patrzyła w ten sposób, jakby zbadać chciała, czy nie jest braną za przedmiot żartu lub ironii. Jeżeli przekonała się, że nie był to żart, ani szyderstwo i wtedy jeszcze nie rozczułała się wcale. »Przyjaźń ludzka, mawiała, to wiatr: przyleci i odleci. Ktoby na nią w wieku moim liczył i spodziewał się czegoś od niej, temubym powiedziała, że jest starem dzieckiem«.

Czy głębokie zwątpienie to było we wnętrzu jej raną wieczną i mocno bolącą? nie mówiła o tem nikomu. Ale przejęta niem, przestała całkiem garnąć się ku ludziom, którzy też przygarniać jej ku sobie ani myśleli. Była to, jak z jednej tak z drugiej strony, rzecz prosta i konieczna. Prosto też i koniecznie ztąd wynikało, że panna Antonina przez kilka lat następnych często miejsca zmieniała.

Tu sama nie chciała być dłużej, tam jej nie chciano. Miała już teraz swoje gusta i wymagania. W jednym domu było jej za gwarno, w innym za cicho, w jednym za gorąco, w innym za zimno. Tak naprzykład spijając i ucząc dzieci w pokoju źle w zimie ogrzewanym, blisko okna, niedbale urządzonego, dostała artrytyzmu, lekkiego zrazu, niemniej

dokuczliwego. Gdyby to było dawniej, zniosłaby dolegliwość cierpliwie i w milczeniu, a za jedno słowo serdeczne, za jeden uśmiech przyjazny, zgodziłaby się, aby w dodatku dano jej jeszcze — suchoty. Ale teraz, wzajemny stosunek gospodarzy domu i nauczycielki określiwszy sobie całkiem inaczej, obraziła się za to zaniedbywanie wygod i zdrowia jej i o powóz i konie prosiła.

Zarazem powiedziała sobie: „dość już tułaczkę tej i tego wycierania cudzych kątów!” Ogarnęło ją namiętne, nieprzeparłe pragnienie własnego kąta. Oddawna już nie miała matki, dla której pracowała zamłodu. Była teraz zupełnie sama jedna i za siebie samą odpowiedzialna. Przyjechała do miasta, najęła pokój pod dachem trzypiętrowej kamienicy, urządziła go mniej jeszcze według swoich gustów, jak według swoich zasad i, poparta małymi stosunkami w mieście posiadaniemi, zaczęła dawać lekcje po domach miejskich.

Osiadając się w pokoiku swoim, mówiła: „Doświadczam takiego uczucia, jak gdybym wracała z siedemnastoletniej podróży. Podróż tę zaczęłam, młodziuchną dziewczeczką będąc. Siedemnaście lat, pani moja, podróżowałam. I cóż...”

Umilkła i zamyśliła się. Zapewne, do zwierzań się nieskłonna, samej siebie zapytywała: co w podróży tej zostawiła, — co z niej przywiozła?

Dzień był zimowy, trochę mroźny i bardzo wietrzny. Z powietrza, z dachów, z ziemi, gwałtowny wicher porywał śnieg twardy i ostry; z szmerem, krzykiem, jękami, miotał po ulicach miasta fale białego pyłu. Wszystko na świecie było białe i mętne. Na gżemsach domów i suchych gałęziach drzew krakały wrony, środkiem ulicy od czasu do czasu, z głuchym klekotem dzwonek przelatywały doróżki, chodniki były prawie puste. Sklepy pozamykano szczelnie przed wiatrem i śniegiem; bramy domów zamknięte także i okna domów ze zbieleńcami szybami milczały.

Wpółogłuszona przez krzyki i szumy wichru, wpółślepiąca miotającym się w twarz i oczy śniegiem, zdążyła już jednak dostrzec przed sobą sunącą przede mną i fale śniegowego pyłu przerywającą, czarną, długą linią. Po chwili rozpoznałam, że była to postać ludzka i kobieca. W obcisłym futerku i do kostek podniesionej sukni, z rękoma wsuniętymi w rękawy szubki, cienka, wysoka i wyprostowana kobieta szła prędko i równo, na wicher i wirującą w powietrzu śnieżycę zupełnie jakby nieczuła. Z tyłu głowy jej, wiatr kręcił szalenie końcami czarnej jej woalki ona zaś sama ani chwiała się, ani pochylała, ani zwalniała kroku.

Dopędzając ją, zawołałam:

— Panno Antonino!

Stała jak wryta, obejrzała się, ale gdy chciała wyciągnąć do mnie rękę i na powitanie moje odpowiedzieć, zachwiała się i, jak ktoś czujący że upada, dłoń oparła o słup latarni.

Błądą była bardzo, usta miała w pół otwarte, oddechu jej brakowało. Dopóki szła — szła, gdy tylko stanęła, siły ją opuściły.

— Nic to, nic — siląc się na głos i uśmiech, mówić zaczęła. — Przestraszyłaś mnie pani, wołając tak nagle. Zamyślona byłam...

— Ależ pani nie przeleżałaś się, tylko się bardzo zmęczyłaś. Istotnie, bo w taką porę...

— Co? ja się zmęczyłam? Oto także! Czy ja takie, pani moja, kursa odbywam i w takie zawieruchy chodzę! Kobieta pracująca silną być powinna.

Teorię tę, wnet w praktyce stosując, wyprostowała się i postąpiła naprzód. Dziwna rzecz! szła znowu prędko, równo, z kibicią wyprostowaną i podniesioną głową. I znowu wiatr miotał i kręcił końcami jej woalki.

— Dokąd pani idziesz?

— Jakto, dokąd? Naturalnie, że na lekcję...

— Czy na pierwszą?

— A któraż teraz godzina?

— Jest już, jak mi się zdaje, około dwunastej.

— Jak mi się zdaje... — z przekąsem powtórzyła; — coto za fatalne przyzwyczajenie kobiece, nie wiedzieć nigdy napewno, która godzina. Dlatego też, wszystko u kobiet Bóg wie po jakimu idzie, a mężczyźni gardzą niemi i pomiatają...

Że w tej chwili samo niebo pomiatało nami, była to rzecz pewna. Wicher odrzucił mnie o kilka kroków od towarzyski mojej, aż pod ścianę kamienicy, nią zaś szamotał tak, że zdawało się, iż już już na klęczki upadnie. Dla utrzymania przeciw równowagi, rozpostarła ramiona, okręciła się parę razy na miejscu i znowu mocno na nogach stanęła.

— Przeklęty huragan, — mruknęła, — spóźnię się na lekcję...

— Czyto będzie dziś pierwsza lekcja? — powtórzyłam zapytanie moje.

— At! jak można o takie rzeczy pytać? Sama pani mówiłaś, że już dwunasta. Cóż to? czyto ja pasorzytem jestem, żebym miała do południa z założonemi rękoma siedzieć. Od ósmej jestem na mieście. Idę na czwartą z kolei lekcję.

— Zkądże idziesz pani i dokąd?

Szła z jednego końca dość rozległego miasta na drugi. W połowie drogi pożegnałam ją i wchodziłam już w bramę domu, do którego dążyłam, gdy wróciła kilka kroków i za rękę mię wzięła.

— Odwiedźże mię pani dziś albo jutro... tak mi zawsze miło dawnych znajomych u siebie widzieć... tylko przed ósmą, bo o ósmej otwieram swój uniwersytet.

Mówiąc to, mocno ścisnęła mi rękę. Zza woalki, od zmarzłego śniegu stężalej, czarne oczy jej, połyskiwały gorąco i smutnie.

Na ulicy, towarzystwo jej stawało się niekiedy kłopotliwem. W grubem obuwiu i w kaloszach dla oszczędzenia obuwia wkładanych, brnąc po błocie, albo najgorsze ślizgawice przebywając tak równym i pewnym krokiem, jakby po gładkim granicie stąpała, bystro i uważnie patrzyła ona dokoła siebie, a czynione spostrzeżenia i doświadczane wrażenia wyrażała głośno i z energią. Kobiety strojne, często na ulicach ukazujące się, sprowadzały jej formalne ataki oburzenia. Przystawała na chwilę, oglądała się za niemi i energicznie giestykulując, nazywała je lalkami, pijawkami, pasorzytami ssąciami drzewo społeczeństwa. Oczy jej zapalały się wtedy jak dwa żuźle, brwi zbiegały się i nadawały czolu wyraz bolesny i groźny. Znajomym mówiła wprost i w oczy, co o nich myśli. Matkom uczenic swoich, zanadto dbającym o dokładne podobieństwo swych córek do żurnalów mód, prawiła:

— Wstydz się pani, wstydz się! Czy chcesz pani córki swoje na pasorzyty wykirować i przyczynić się do zgubienia w zarodku emancypacji kobiet? Winszuję ale nie zazdroszczę... Mieć na sumieniu tamowanie postępu ludzkości, piękna rzecz!

Kiedy sprzeczano się z nią o »emancypacją kobiet« unosiła się i pomiędzy wielu inemi przytaczała niezmiennie i ten także argument:

— Dwanaście córek i dwanaście katedr i nikt mi tego z głowy nie wybije!

Nikt jej też z głowy wybić nie mógł, że wszyscy uczniowie szkół miejscowych bez różnicy płci, byli najpiękniejszą ozdobą i nadzieją ludzkości, jak też przedmiotem budzącym w dobrze uorganizowanem sercu tkliwe uczucia. Na widok gromadki drobnych, istot tych, rojem ze ścian szkoły na ulicę wybiegających, wzrok jej rozpromieniał się, twarz cała nabierała wyrazu niewymownej słodyczy i czułości. Wśród drobnej ludności tej posiadała widać sporą ilość znajomych, bo niektóre z dzieci witały ją uśmiechem i skinieniem głowy, albo nawet do ręki jej przypadłszy, pocałunkami ją okrywały. Bywały to najczęściej twarze dziecinne bladawe i smutne. Widocznie dziękowały jej one za coś, ale za co? — nie dowiedziałam się o tem nigdy.

Codziem zrana, wymiotłszy pokoik swój i opatrzywszy kwiatki i kanarka, mówiła do siebie: marsz w drogę! i wychodziła na miasto. Maszerowanie to jej przecież słabło i wolniało na schodach. Z coraz większą trudnością przychodziło jej wstępować na wysokie piętra. Usiłowała pokryć to, ale nie mogła.

— Albowto ja taka stara, — mówiła śmiejąc się, a od bólu mimowoli brwi zsuwając.

Starą nie była istotnie, bo nie miała jeszcze spełna lat czterdziestu. Ale, raz, o szarej godzinie, przyznała mi się, że artrytyzm, nabyty w ostatnim roku domowego nauczycielstwa, coraz częściej i silniej ją napastuje. Wyznanie swe czyniła tak cicho, jak gdyby przez to zniżenie glos do zrozumienia mi dawała, iż jest to głęboka i mnie tylko powierzona tajemnica.

— Pokoik ten — dodała — jest bardzo miłutki ale zimny w mrozy, a na wiosnę wilgotny. Zmieniać zaś mieszkanie... trudno!

Domyślałam się, że trudność ta pochodziła z przyczyną częścią ekonomiczną, częścią uczuciową natury. Zdrowsze i droższe mieszkanie było zapewne nad jej możność, lecz zarazem pozbawiłoby ją ulubionego obicia z polnemi kwiatkami i tych radosnych, a wdzięcznych podziękowań dziecięcych, które, na ulicach miasta, pod stopy jej okryte obłoconemi kaloszami, padały jak perły...

Chciałam mówić z nią o cierpieniu jej, coś jej doradzać, lecz szybko zmieniając przedmiot rozmowy, mówić zaczęła o rozmaitych powieściopisarzach, poetach, filozofach, jako też o różnych »kwestycjach i ideach«. Napelniająca pokój jej szara godzina, zdawała się roić imionami, datami, cytatai, które gradem z ust jej się sypały. Na niskim taborecie, przed palącym się w piecu ogniem, siedząc z patetycznie rozwartemi ramionami, deklamowała wyjątek z poematu jakiegoś, — deklamacją swą przerywając dmuchaniem w stojący na ziemi samowar. Że zaś w poemacie owym znajdowała się wzmianka o Napoleonie I, skończywszy deklamować, mówiła coś o strategii wojennej... Uczoną rozmowę tę ośmieliłam się przerwać zapytaniem: ile mieć może dochodu za udzielane przez się lekcye? Zmarkotniała i milczała przez chwilę. Bardzo nie lubiła, gdy ją o nią samę zapytywano; podejrzewała w tem zawsze jakieś ironiczne intencje. Tym razem jednak, bądź przez gościnność, bądź przez grzeczność, bądź pod wpływem szarej godziny, łagodnie zabarwionej różowemi blaskami ognia, łagodnie odpowiedziała:

— Cóż? Z początku szło mi wcale nieźle Teraz gorzej trochę, bo konkurencja silna...

— Konkurencja?

— A tak; jest nas tu, dających lekcye, mnóstwo! W dodatku, dziewczątka te, które gimnazya pokończyły, więcej ode mnie umieją i lepiej uczą, to też najlepsze lekcye im się dostają...

Więcej umieją! Boże! Ona jednak tak długo kształciła się i tak niepospolitą miała erudycją!

— Miałam kiedyś ośm godzin dziennie, — rzekła — jeszcze, teraz mam już tylko pięć i bardzo lękam się... że na rok przyszły mniej jeszcze mieć będę.

Więcej już nic o tem nie powiedziała, ale przez dobre pięć minut siedziała na taboreciku swym milcząca i zamyślona. Postać jej rysowała się w cieniu jak długa, cienka, czarna linia; chude, długie ręce, bieleły na czarnej sukni; twarz wychyliła nieco na światło ognia, które w oczach jej szklisto tkwiących w przestrzeni, zapalało drżące iskry. Zamyślenie to jej, z osłupieniem graniczące i odkąd znałam ją, pierwszy raz wymówiony wyraz: »lękam się«, — wiele do myślenia dawały.

Po chwili jednak, szybko i raźnie powstała, zapaliła świecę i herbatę urządzać zaczęła. Przytem mówiła znowu o wielu rzeczach uczonych i wzniosłych. W godzinę potem, pokój jej zapełnił się ubogą dziatwą.

Uprosiłam ją, aby pozwoliła mi pozostać.

Lekcye trwały dwie długie godziny, w ciągu których pokój przedstawiał istotną szkółkę wieczorną, z solowem i chóralnem bąkaniem sylab na elementarzach, z pisaniem liter i cyfr na zeszytach i łupkowych tablicach, z uderzaniem palcami w różne miejsca wiszącej na ścianie mapy, z klęceniem, staniem w kącie, zapisywaniem złych i dobrych stopni itp. Wszystko to zakończyło się opowiadaniem bardzo ładnej bajki, utworem samej nauczycielki będącej, a w której były poezya i morał i różne wiadomości o szerokim świecie. Dzieci, w rozmaitych postawach na ziemi siedząc, słuchały z zajęciem wielkiem, zdradzającym się szeroko pootwieranemi oczami i ustami; panna Antonina zaś, pomiędzy niemi na taboreciku siedząca, opowiadała bajkę swoją z przejściem się nadzwyczajnem, z odpowiednią mimiką i deklamacją.

Po bajce, nastąpiło rozdzielanie pomiędzy uczniów bułeczki czarnego chleba, którego też częśćkę sama nauczycielka z apetytem wielkim jeść zaczęła. Potem w pokoiku zrobiło się znowu cicho i pusto. Ogień w piecu zgasł; godzina była dziesiąta.

Przy świetle jednej świecy, twarz panny Antoniny wyglądała okropnie znużoną, oczy jej nawet przygasły i kibić zgarbiła się. Ręce bezwładnie opuściła na suknię, osypaną okruchami czarnego chleba, na wieczerzę spożytego. Kiedy pożegnawszy ją odchodziłam, gasiła świecę i zapalała małą nocną lampkę, w kącie pokoju wiszącą.

— Pozwalam sobie na zbytek ten, — rzekła jeszcze — grubych ciemności nie lubię, a nocami nie zawsze sypiam.

Któż odgadnie i opowie, o czem myślała ona, co czuła, gdy w długie, zimowe noce, na twardem, wąskim łóżeczku leżąc, bezsennemi oczyma wodziła po suficie i ścianach pokoiku, na których chwiejne cienie sprzętów melancholijnie łączyły się i rozstawały ze smugami bladego światła?

Dla przyczyn różnych, nie widywałam jej potem przez lat trzy, a gdy następnie zapytałam o nią u stróża kamienicy, pod dachem której po raz ostatni ją widziałam, odpo-

wiedział mi, że od dość dawna już tam nie mieszkała. Dość długo pytać o nią i szukać jej musiałam, zanim nakoniec dowiedziałam się gdzie przebywa. Nie było w tem nic dziwnego. Od kilku miesięcy już ludzie widywać ją przestali.

Wszedłszy na korytarz szpitala, wąski, długi, z białymi jak śnieg ścianami i błyszczącą jak lustro posadzką, zapytałam przechodzącego posługacza o osobę, którą odwiedzić chciałam. Wskazał mi jedne z pomiędzy drzwi, których dwa długie szeregi znajdowały się po obu stronach korytarza.

Weszłam.

Znowu pokoik ale bez obicia z polnemi kwiatkami, bez obrazków, kanarka i kwitnącej pelargonii. Czarne pręty żelaznego łóżka suchemi liniami rysowały się po ścianach białych jak śnieg a tak wysokich, że trzeba było długo podnosić wzrok, aby dosięgnąć nim sufitu. Za ogromnem, nagiem oknem, ze zwiniętą u góry żółtawą storą, w gęstej jesiennej mgle chwiały się zwolna bezlistne szczyty topól, rosnących w szpitalnym ogrodzie. Naprzeciw okna, wysokie i jak zwierciadło od politurę błyszczące drzwi, przy łóżku stolik żelazny, u przeciwniejszej ściany stół i dwa żółte stolki.

Czysto tu było, widno, nago, smutno i okropnie nudno. W dobrze ogrzanem i oświetlonym powietrzu drgało nieujęte uczucie chłodu i unosiły się cikliwe wonie lekarstw.

Na żelaznem łóżku o wysokich czarnych prętach, na białej jak śnieg pościeli, pod żółtawą koldrą szpitalną leżała panna Antonina. Mocno siwe włosy jej całkiem były w tył odczesane, przez co odkryło się, przysłaniane dawniej, wysokie i wypukłe jej czoło. Przy twarzy zmalalej od wychudnięcia, czoło to wyglądało ogromne, a okrywał je rój drobnych, gęstych, w różne kierunki krzyżujących się zmarszczek. Zapadłe oczy jej przypominały okryte parą zwierciadło; wąską linią ust bladych i ściśniętych okrążał wyraz milczącego cierpienia. Twarz ta, woskową żółtością swą odbijała silnie od bieli poduszki, wzamian splecione ręce jej, delikatne, z siatką błękitnych żyłek, wydawały się bardzo białymi na tle żółtej koldry.

Zrazu nie poznała mię. Wzrok miała osłabiony, nadewszystko zaś nie spodziewała się odwiedzin jakichkolwiek, potem, z uśmiechem wyciągnęła ku mnie rękę i usiłując jeszcze być gościnną, chciała podnieść się, usiąść. Nie mogła jednak. Była bardzo słabą i oddech miała krótki, ciężki, głośny. Leżąc więc powiedziała mi, że zostaje tu już od kilku miesięcy. Zbierało się, zbierało na tę długą chorobę przez lat kilka, aż nakoniec zebrało się. Artrytyzm spadł jej na płuca, zapewne dlatego, że wiele chodziła po wietrze i słońcu, a przy lekcjach musiała ciągle mówić. Zresztą, lekcyj miała już w ostatnich czasach coraz mniej. Zmuszoną była wziąć mieszkanie tańsze, które było chłodniejszym jeszcze i wilgotniejszym od tamtego. Kiedy zachorowała, przez parę miesięcy leżała w mieszkaniu swoim ale potem... kuracja kosztowała bardzo drogo i dozoru nad nią akuratnego mieć nie mogła... Cóż? w szpitalu tym bardzo jest dobrze; lekarze dobrzy tu są i troskliwi, dozór dobry i wszystko na żądanie. W dodatku, dobrzy ludzie wystarali się o to, aby mogła leżeć nie we wspólnej sali, ale w osobnym pokoju. Płacą nawet za to, ale, coż robić? Musi już ona przyjmować ofiarę tę i bardzo jest za nią wdzięczną.

Wszystko to mówiła cicho, zwolna i z uśmiechem; potem, spoczawszy minut parę, dodała:

— Takto już na świecie jest, pani moja! człowiek złożony jest z ducha i ciała i nietylko duchowe, ale i cielesne dolegliwości mieć musi. I żeby to tak zaraz umierać, jak tylko duch albo ciało bardzo cierpieć zaczną, ale gdzietam! Nim śmierć przyjdzie, wszystkiego doświadczyć trzeba... Taką już jest sroga rzeczywistość...

Odpocząwszy nieco, wypytywać się zaczęła: co tam na świecie słychać? co piszą w gazetach? jakie nowe książki wyszły? Czy w parlamencie angielskim odbyły się już narady nad dopuszczeniem kobiet do wotowania? itp.

Odpowiedzi na pytania te słuchała prawie z chciwością. Parę razy oczy jej zapłonęły dawnym ogniem i uśmiech szczery, prawie wesoły, okrążył usta. Potem westchnęła i utkwiała wzrok w kołyszące się za oknem bezlistne szczyty topoli.

— Tak, tak! — szepnęła — świat idzie sobie drogą swoją, choć ludzie jak muchy z drogi tej znikają... Chciałabym bardzo popatrzeć jeszcze na to wszystko... Mogłabym... wszakże tak bardzo starą nie jestem...

Miała wtedy lat czterdzieści parę, — nie była więc już młodą; jednak, widywałam kobiety w jej wieku tańczące na balach i inne, które w silnych ramionach kołysały ma-



lutkie wnuki. Ona, nie mogła już dnia tego mówić, ani słuchać więcej. Po półgodzinnej rozmowie, żółte powieki jej opadły bezsilnie na zagasłe źrenice, ręce i wargi zacisnęły się w niezmiernem wysileniu woli, powstrzymującej jęki.

Innego dnia, wchodząc do szpitalnego pokoju, znalazłam chorą wpółsiedzącą na łóżku, z małą, otwartą szkatułką na kolanach. Tak była pogrążoną w rozpatrywaniu przedmiotów znajdujących się w szkatułce, że zrazu wejścia mego nie spostrzegła. Usłysawszy dopiero powitanie moje, podniosła głowę i z wolna, nie śpiesząc się, szkatułkę zamknęła. Była dnia tego trochę silniejszą, lekarstwo jakieś ulgę jej sprawiło. Po kwadransie rozmowy o tem, co na świecie słychać, z uśmiechem rzekła:

— Widzę, że spoglądasz pani ciągle na szkatułkę moję i pewnie ciekawa jesteś, co się w niej znajduje... Może nawet myślisz sobie... ot chytra babina! uciulała sobie przez całe życie pełną szkatułkę pieniążków, a teraz, na szpitalnem łóżku leżąc, liczy je dla rozrywki i może kupony od bilecików odcina!...

Mówiąc to, śmiała się tak serdecznie, że aż potem zakaszła się gwałtownie i przez minut kilka leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma, prędko i chrapliwie oddychając; podniosła potem ciężkie powieki i omglonym wzrokiem długo na mnie patrzyła. Nie śmiała się już, ani uśmiechała; powoli i tak cicho, że zaledwie dosłyszeć ją mogłam, mówić zaczęła.

— Owszem, z przyjemnością pokażę pani, co mam w tej szkatułce. Niema tam klejnotów ani osobliwości żadnych, tylko... są wszystkie moje pamiątki...

Otworzyła szkatułkę pełną przedmiotów jakichś, w papiery i papierki pozawijanych. Rozwinęła papierek jeden i, pokazując mi duży liść dębowy, tak zeschły, że prawie w proch rozsypujący się, rzekła:

— Zerwałam to z drzewa, wyjeżdżając od państwa Skierskich... pamiętasz pani? z tego domu, gdzie mi tak dobrze było, gdzie tak wszystkich, wszystkich kochałam... Pod drzewem tem siadywałam zwykle przez całe lato z uczenicami memi, z robotą, z książką... dobrze mi wtedy było... Myślałam, że tam długo, długo będę... Może i zawsze. Kiedy już trzeba było odjeżdżać, wycalowałam drogie moje drzewo i liść ten na pamiątkę domu tego z sobą powiozłam... Nazywam go sobie zawsze liściem wiary, bo wierzyłam wtedy w serca ludzkie, w przywiązanie, wierność... Ach! jak wierzyłam!...

Zwłoki, a raczej prochy „liścia wiary”, starannie znowu owinąwszy w papierek, powoli rozwinęła drugi.

— A to, widzisz pani, pasemko włosów mojej babuni... staruszki tej, której ostatnich lat osłodą byłam i która w chwili skonania tak czule mię pobłogosławiła... Biedna, kochana staruszka! Nazywała mię zawsze Antosią!

Tu, drżące trochę palce jej spotkały się w szkatułce z przedmiotem, przed ukazaniem którego zawahała się chwilę. Zdaje się, że blady, zaledwie dostrzegalny rumieniec, na mgnienie oka zamigotał pośród zmarszczek jej czoła. Nakoniec, w palcach jej ukazała się fotografia. Podając mi ją, szepnęła: To on!

Spuściła wnet oczy i długo nie mówiła nic.

Fotografia spłowiła, w pół zatarta, przedstawiała twarz młodego mężczyzny ani piękną, ani brzydką, tak już zresztą niewyraźną, że nic z niej wyczytać nie można było. Gdy przypatrywałam się jej, panna Antonina, nie podnosząc powiek, szepnęła:

— Widzi pani, każdy człowiek na świecie ma sobie w przeszłości swej poemacik jakiś. I ja go mam. Była to tylko chwila... iskra, czy róża przeleciała mi przez drogę. Coś pamiętam... jakieś ranki letnie w pięknym ogrodzie, jakieś wieczory jesienne przy ogniu kominka... zdaje mi się, że on mię prawdziwie kochał. A może i nie?... czy ja wiem... Zniknęło! i jakże to dawno już było... dawno... dawno!

— Czy widywałaś go pani potem?

— Nigdy; najczęściej ludzi, z którymi, rozstawałam się, nie widywałam już potem nigdy. I jej także już nie widziałam...

Tu podała mi zeszyt, dziecięcą ręką zapisany. Były to „wypracowania” owej najdroższej uczenicy jej.

— Coto było za dziecko! — zawołała i dźwignięta wracającym jej dawnym zapalem, usiadła na łóżku — była to, pani moja, dziewczynka genialna! Jak ona wszystko rozumiała, jakim stylem już pisała, jakie szlachetne, wzniosłe uczucia napępiały już to dziecinne serce!

Splotła ręce, wzniesione oczy jej płonęły.

— O pani moja! żeby mi kto powiedział, żeby mi kto powiedzieć mógł, że nauki moje zostawiły w dziecku ten ślad trwały, że ziarna, które w nie rzucałam, świat nie zdeptał i na cztery wiatry nie rozniósł... żeby mi kto powiedział, że jest ona teraz kobietą rozumną i wzniosłą... umarłabym, błogosławiąc tego, ktoby mi wlał w usta tę kroplę słodyczy!...

Upadła na poduszki zmęczona, bezsilna, z dyszącą piersią.

— I nie odezwała się już ona do pani nigdy?

Odszepnęła bardzo cicho.

— Nigdy. Przynęcała pisywać do mnie i gdy dorosnie, wezwać mię do siebie, ale... dzieckiem jeszcze była... zapomniła.

Było tam jeszcze w szkatułce tej kilka innych przedmiotów, starannie chowanych: spory zeszyt notat i wyciągów z książek, najróżniejszej natury; długi spis tytułów dzieł, przez całe życie przeczytanych, jako też imion ich autorów, słowem ślady i pamiątki długoletniego, żarliwego kształcenia się.

Nawznak leżąc, z przymkniętymi od zmęczenia oczyma, panna Antonina wynalazła w szkatułce jeden jeszcze paperek, a gdy go rozwinęła, zobaczyłam mały kasek i trochę okruch czarnego chleba.

— To z mego pokoiku... tego, w którym pani bywałaś. Łamałam się tam z biednymi dziećmi czarnym chlebem wiedzy mojej i moich dostatków... Zmieniając mieszkanie, wzięłam go trochę na pamiątkę...

Potem przez dość długi szereg dni następnych, znajdowałam najczęściej pannę Antoninę pogrążoną w rozpatrywaniu zawartości swej szkatułki. Im słabszą była i więcej cierpiała, tem pilniej i nieustannie przyglądała się przedmiotom, z papierków odwijanym. Przestała już zapytywać o to, co na świecie słychać. Często zdawała się zapominać o obecności mojej.

U ogromnego, nagiego okna z robotą siedząc, długie chwile przypatrywałam się jej, gdy nad szkatułką swoją schylona, w wychudłych palcach trzymała okruchy dębowego liścia albo pasmo siwych włosów, albo spłowiałą, mętną fotografią, albo jeszcze jeden z uścielających dno szkatułki zeszytów i wlepiając w nie oczy, poruszała zwolna spieczonemi wargami, jakby wiodąc z niemi tajemnicze, czule niekiedy, a niekiedy gorzkie i gniewne rozmowy.

Raz, po długim wpatrywaniu się w jeden z zeszytów, żywym ruchem podniosła głowę i podawnemu pięść zaciskając, zawołała:

— Żeby mi kto powiedział, poco ja tę strategią i filozofią niemiecką studyowałam! Siwieć zaczęłam... prawdę powiadam, pani moja, że nad tą strategią i nad tą filozofią siwieć zaczęłam.

Mimowoli uśmiechnęłam się. Spostrzegła to, gniewnie wstrząsnęła głową.

— Śmiejesz się pani, — sarknęła — przepraszam, ale wcale niema z czego. Kiedy kto gwiazdę wiedzy ukocha i dążyć do niej pragnie, a drogi prostej nie zna, omackiem idzie... ludzi to śmieszy, zapewne; ale tym, co sobie łby o ścianę rozbijają, wcale nie wesoło... Oho! gdybym się ja drugi raz na świat urodziła, albo gdybym córki miała...

Innego dnia, po całej godzinie rozpatrywania się w pamiątkach swoich, podniosła na mnie wzrok łagodny i pełen wyrazu prośby.

— Pani moja droga, — rzekła — jeżeli ja z choroby tej umrę, bądź tak łaskawą i spal wszystko, co w tej szkatułce... Poco się to ma po szpitalnem śmietnisku ciągać...

Nawznak leżąc, omglonym, zadumanym wzrokiem zwolna ściagała chwiejając się w mgle jesiennej szczyty ogrodowych topoli; potem rzekła jeszcze:

— W ogień i koniec. Spali się to i śladu po mnie na ziemi tej nie zostanie...

Tu, jakby wstrząśnięta brzmieniem wyrazów własnych, uczyniła ruch żywy; łokciem wsparta o poduszkę, w pół podniosła się i prędko, ciężko dysząc, zawołała:

— Czyż naprawdę żadnego, żadnego śladu nie zostanie?

W oczach jej, nagle rozpromienionych, malowało się niespokojne, gwałtowne, rozpaczliwe prawie pytanie. Pytaniem tem dręczyła się ciągle przez kilka dni następnych.

— Bo jeżeli nic, nic nie zostanie... to pocóż było... to jakież sens...

Potem z rozwagą i łagodnie mówiła:

— A może i zostanie coś... może w tych małych głowach i sercach zostało z nauk moich choć trochę. Z całej siły pragnęłam... starałam się... zresztą choćby i to, że czytać je nauczyłam...

Dręcząc się i pocieszając z kolei, słabła coraz bardziej. Dolna część jej twarzy wydawała się coraz mniejszą, a czoło coraz ogromniejszym i wypuklejszym. Po kilku dniach przestała już troszczyć się i o pozostawienie śladów swych na ziemi; przynajmniej nie mówiła już o tem. Całkiem prawie mówić przestała i leżała nieruchomo, czasem jeszcze tylko rozwijając który z papierków i na zawartość jego zwracając wzrok, mdlejący w osłabieniu, albo rozplómienny gorączką. Zapytałam ją raz, czy bardzo cierpi. Z cieniem dawnej patetyczności odpowiedziała:

— Czarne noce o tem wiedzą, a pewnie opowiadać tego nikomu nie będą.

Po chwili do siebie samej szepnęła:

— Gdybym miała córki...

Zaczęłam mówić jej, że przecież pomiędzy ludźmi...

— Tak, tak — podchwyciła, — zapewne! Ludzie byli dla mnie zawsze więcej dobrzy, niż źli. Ot i kiedy zachorowałam, przywieźli mię tu w wygodnym powozie, najęli osobny pokoik, z początku odwiedzali nawet czasem... potem przestali odwiedzać, bo każdy ma swoje zajęcia, stosunki... bardzo wdzięczną jestem za wszystko... ale te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach...

Dnia pewnego znalazłam ją tak już słabą, że leżąc, oddychać nie mogła. Ułożono jej za plecami tyle poduszek, aby utrzymywała się w postawie siedzącej.

Na kolanach jej stała otwarta szkatułka.

Gdy usiadłam przy łóżku, nie poruszając głową, bardzo powoli wzrok na mnie zwróciła.

— Wiesz pani, — szepnęła — znowu doświadczam uczucia takiego, jak gdybym wracała z długiej, długiej podróży... Dwadzieścia sześć lat podróżowałam i ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam... I cóż...

Znowu nie dokończyła, ale ręce jej podobne do rąk skieletu, nad otwartą szkatułką rozwarłe i drżące, zdawały się zapytywać: co w podróży tej pozostawiła i co z niej przywiozła?...

\*

Marzy mi się nieraz, że kędyś w niewidzialnej strefie duchowych dziejów ludzkości, istnieje mgławica jakaś ogromna i niezgłębiona, złożona z dusz, które życie dostało w postaci pąka pięknego kwiatu, a wypuściło z swych objęć poszarpane i zmięte. Duszo zmęczona, niewynagrodzona, leć w tę wymarzoną mgławicę, może ona kiedyś utworzy świat nowy i lepszy...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/panna-antonina/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Panna Antonina, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1888.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Nicholas Cardot@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0640-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.